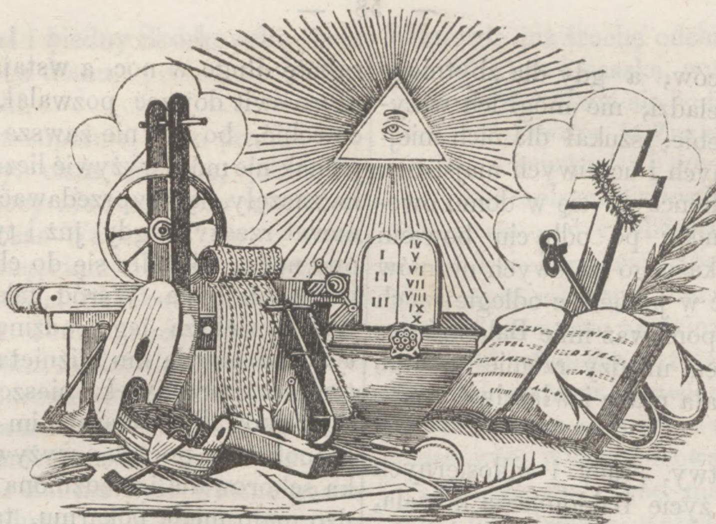
№ 8.
Warszawa
Dnia 19 Lutego
(2 Marca).
1856.
Niedziela
4ta POSTU.



KANTOR GŁÓWNY.
W DRUKARNI J. UNGER
przy ulicy Krakowskie-Przedmieście Nr. 391.
PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych Warszawskich płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wierni pełnić będziecie obowiązki waсse." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Prosimy Cię, wszechmogący Boże, racz przyjąć pokorne modlitwy nasze: i prawice Twego majstatu na nasze obronę wyciągnij. (Modlitwa Kościelna na Niedzielę 3 Postu).

Swięty Baldomierz
WYZNAWCA, KOWAL.

W przyszłą Srodę, to jest dnia 27 Lutego, obchodzi kościół pamiątkę św. Baldomiera, kowala; dlatego zamieszczamy tu żywot owego wyznawcy, jako wzór najpiękniejszy dla majstrów i młodzi rzemieślniczéj.

Baldomierz urodził się we Francji, w mieście Lyonie, z cnotliwych i pobożnych rodziców. Z dziecinnych lat zaraz poświęcił się rzemiosłu, i został kowalem.

Życie jego było pobożne i pracowite, wstawał on ze świtem dnia, a upadłszy na kolana, modlił się, dziękując Bogu za szczęśliwie przebytą noc, i prosząc o nowe siły do pracy. Następnie szedł do kościoła, powróciwszy zaś po Mszy do swéj pracowni, brał się sam do roboty i zachęcał do niéj czeladź i chłopców temi słowy: „W imie Boże, bierzmy się do roboty!" a gdy się dzień skończył, odzywał się znowu: „Za wszystko niech będzie Pan Bóg pochwalony."

Przy tak uczciwéj i usrawicznéj pracy, z Bogiem poczynanéj i kończonéj, spływało na niego błogosławieństwo nieba, a za niem dostatek. Zebrał też Baldomierz więcej pieniędzy, niż mu potrzeba było; a że nie miał żony ani dzieci, a nawet nie myślał wchodzić w związki małżeńskie, ubodzy więc znaleźli w nim swojego dobrodzieja. Z miłością i szczodrobliwością wspierał ich i zachęcał do modlitwy i pracy; mianowicie też był ojcem prawdziwym dla tych, którzy przy wszelkiéj pracy i zabiegłości, nie mogli zapracować tyle, ile im było potrzeba. To było najmilszem zajęciem owegę majstra kowalskiego, w chwilach wypoczynku do pracy codziennéj.

Za nadejściem zimy, rozdawał on biednym odzież, a zwłaszcza dziatkom, zachęcając ich do pacierza, miłości i posluszeństwa dla rodziców i starszych, a do pilności w szkole.

To go też dzieci najwięcéj kochały, tak iż gdy się tylko pokazał majster Baldomierz, zbiegały się do niego, witając miłym i serdecznym uśmiechem.

Nie dziw wię, iż czeladka i uczniowie Baldomierza mieli ku niemu największą miłość i szacunek. Nikt z nich z pracowni jego oddalić się nie chciał, a kiedy musiał, robił to z prawdziwym żalem. Najchętniéj przyjmował na naukę

dzieci ubogich rodziców, a gdy dla zbytniego natłoku uczniów i czeladzi, nie mógł ich wszystkich pomieścić u siebie, szukał dla nich miejsca u innych pobożnych i uczciwych majstrów. I troskliwość ta nie kończyła się w domu owego zacnego rzemieślnika; po odbyciu bowiem zupełnego terminu, każdego ze swych uczniów starał się pomieścić w jedném z odleglejszych miast kraju, gdzie, ponieważ imie Baldomierza było znanem i głośnem między rzemieślnikami, młodzież ta znajdowała pracę i właściwe utrzymanie.

Tak, wśród modlitwy, pracy i miłosiernych uczynków, płynęło życie Baldomierza kowala, aż go Bóg powołał do swojéj wiekuistéj chwały.

Umarł on z żalem powszechnym, uznany za świętego.

Niektórzy utrzymują, iż resztę dni swoich Baldomierz, za radą pewnego opata, spędzić miał w jakimś klasztorze. Na grobie jego miało miejsce wiele zadziwiających cudów, które gdy kościół św. roztrząsnął i rozpoznał, zaliczył go w poczet świętych wyznawców.

W kościele XX. Bernardynów w Warszawie, na zasłonie ołtarza świętego Stanisława biskupa, pierwszego po lewéj ręce od głównego wejścia, znajdziecie obraz św. Baldomierza, gdy ten, w pracowni swojéj, jakiemuś kalece ubogiemu, który się do niego przyczołgał na szczudłach, nietylko jałmużnę, ale narzędzia swego rzemiosła oddaje.

Piękny to zaiste i rozrzewniający przykład miłości bliźniego, idźmy go oglądać, aby go naśladować.

Krawiec Skórkowski.

—

Przed kilkudziesiąt laty żył w Warszawie krawiec, nazwiskiem Skórkowski. Ożenił się z ubogą jak sam, lecz cnotliwą dziewczyną, a Bóg pobłogosławił ten związek czworgiem dziatek. Poczciwy Skórkowski nietylko że nie miał żadnego nałogu, ale jeszcze umiał sobie odmówić wszystkiego, i najdrobniejszéj nigdy nie dozwolił sobie przyjemności; kieliszek wódki, piwa butelka, były to dlań rzeczy prawie obce; odpoczynku nawet niewiele zażywał, przeciągając robotę długo w noc, a wstając znowu do niéj skoro świt dojrzeć pozwalał, szczęśliwy, że ma, co robić, bo i to nie zawsze bywało. Mimo to jednak nie mógł wyżywić licznéj rodziny, i zwolna zaczęły się wyprzedawać najpotrzebniejsze nawet rzeczy, a gdy już i tych nie stało, okropna nędza wkradła się do chatki nieszczęśliwego rzemieślnika. Wśród takiéj walki z losem, Bóg powiększa jego rodzinę o dwie naraz istoty: żona powiła mu bliźnięta. Łzami oblawszy ten nowy przybytek, nieszczęsni rodzice Bogu podziękowali za okazaną im łaskę, lecz zarazem kłopotać się poczęli o wyżywienie dla nich. Matka schorowana i znędzniona niedostatkiem, bardzo mało miała pokarmu, tak, że ledwieby dla jednego wystarczył dziecięcia.

— Wiesz co, Zuziu — powiedział Skórkowski, jeśli zechcesz karmić bliźniaki, to z pewnością i sobie przez to zaszkodzisz i dzieciny się zmizerują. Bóg jest litościwy, on nie opuści biednéj sieroty... wolę oddać komu jedno dziecię, a ocalić ciebie i drugiego chłopca. Bóg miłosierny! powtarzam ci... pozwól żono, bo widzisz sama nasze położenie, pozwol abym...— I biedny krawiec zaniósł się od płaczu, nie mogąc dokończyć myśli, która mu serce rozdzierała. Nieszczęsna matka cichą łzą odpowiedziała na propozycyę męża—przytuliła do siebie dzieci, jakby lękając się one utracić; potem upadli na kolana oboje, głośną, rzewną modlitwą błagali Boga, aby ich pocieszył; i długo tak jeszcze modlili się i płakali, aż nareszcie nie widząc innego sposobu, biedny ojciec losem wyciągnął z posłania jedno z bliźniąt, a owinąwszy je w połę swego surduta, o zmroku wyszedł na miasto.

Na Podwalu, w pięknym dwupiętrowym domu z obszernym dziedzińcem i wielką bramą, mieszkali na dole państwo Skarbińscy, majętni i zacni ludzie, ale bezdzietni. Pomimo to jednak po obszernych pokojach zajmowanego przez nich mieszkania, biegały dwie śliczne dziewczynki, niemowlętami jeszcze podrzucone w tym samym domu, a przez nich przyjęte i wychowane, jak własne córki. Wiedziała cała prawie Warszawa o tym ich chrześciańskim uczynku, wiedział i Bóg, nagradzający im sowicie wyświadczone dobrodziejstwo pieszczotami niewin-

nych istot, wiedział i biedny Skórkowski; dlatego też wyszedłszy z domu, prosto na Podwal skierował swe kroki.

Sciemniło się już zupełnie, ludzi prawie wcale nie było na ulicy, cisza zupełna, jakiéj dziś jeszcze i po północy nie znajdziesz w mieście. Ale bo też podówczas Warszawa nie była tak, jak teraz zamieszkaną; i inne całkiem były przodków naszych zwyczaje. Skórkowski wsunął się do bramy znanego domu, złożył swój skarb w obszernéj framudze, zapłakał, odszedł, i znów powrócił, i znów odszedł, zatrzymując się jeszcze w bramie. Straszna walka miłości rodzicielskiéj ze smutną koniecznością, toczyła się w jego zbolałém sercu. Żal mu było własne porzucać dziecię, ranić duszę czułéj matki; lecz znowu myślał: Ci państwo tak są dobrzy, będę wiedział przynajmniéj, gdzie szukać mojéj krwi, gdy mi Bóg dopomoże. Wszak nie na zawsze opuszczam dziecię, Stwórca ulituje się nad naszém cierpieniem, On je nam wróci, o! tak—wróci niezawodnie. Gdy tak rozmyśla, dziecię kwilić poczęło, serce zadrgało w biédnym ojcu, skoczył do framugi, a wtém wypada z komórki stróż domowy, ogromny, barczysty mężczyzna, chwyta za kołnierz krawca, wołając: „A, tuś mi ptaszku! przecież cię złapałem; niéma jeszcze godziny, jak jedno przyniósł, a teraz z drugiém przychodzi. Katarzyno! Katarzyno! podajno tę dziewuchę! A hultaju! nie możesz to iść do Dzieciątka Jezus, nie w poczciwym domu zostawiać podrzutki! Masz, zabiéraj swoje bachory, i wynoś się, bo dam znać do policyi.“

Tak tedy biedny Skórkowski poszturchany i wypchnięty, wrócił smutny do domu, niosąc napowrót dwoje dzieci zamiast jednego. Żona zobaczywszy to, zaczęła płakać i wyrzekać okropnie: Widzisz Kaźmierzu, Bóg nas ukarał za to, żeśmy się chcieli pozbyć własnego dziecięcia; masz teraz jeszcze i cudze.

— Cicho Zuziu! cicho! nie narzekaj na Pana Boga, poddajmy się z pokorą świętym jego wyrokom, ale szemrać to grzech, to nie po chrześciańsku!

— Odnieśże przynajmniéj to dziecko do Dzieciątka Jezus!

Krawiec nic nie mówił, tylko całował ręce i nogi żony, płacząc; nakoniec po niejakiéj chwili rzekł: „Słuchaj matko! przyjmijmy z ręki Boga karę, jaką na nas zsyła, może rodzice téj dzieciny w gorszém jeszcze od naszego są położeniu; niemowlę już trochę odchowane, da się wykarmić mlekiem i kaszką, wychowamy je jak swoje, a obcy pastwić się będą nad cudzem dziecięciem. Zostawmy je Zuziu, Bóg nam to wynagrodzi, zobaczysz!“ I tak poczciwy Skórkowski sam w okropnym niedostatku, zapomniał o nim, litując się nędzy bliźniego; dobra żona nie umiała mu odmówić, dziecię zostało. Po kilku godzinach mocnego snu, zbudzone, Zuzanna chciała na nowo spowinąć; rozwiązuje zatém pieluszki, wtém coś ciężkiego upadło na pościel... Zawołała na męża. Krawiec wziąwszy stare w mosiądz oprawne okulary, z wielką trudnością przy groszówce, wysyllabizował co następuje:

„Ochrzczona, imię ma *Rozalja*; pieniądze przy niéj będące weźcie na jéj utrzymanie. Okoliczności zmuszają rodziców rozstać się na czas jakiś ze swem dziecięciem, czuwać będą nad niém choć zdaleka. W czyjekolwiek dostanie się ręce, miéjcie o niéj macierzyńskie staranie... Bóg wam nagrodzi... i ludzie nie zapomną!.. Bądź zdrowa Róziu! dziecię moje najukochańsze... bądź zdrowa!.. do czasu!..“

Ślady świeżych łez widocznie błyszczały na kartce; w oddzielnym arkuszu białego papieru owinięte były pieniądze, w kwocie dwadzieścia tysięcy złotych.

W 16 lat po opisanych wypadkach, pewnego dnia Skórkowski siedział z żoną w ładnym pokoiku, pięknie umeblowanym; w sąsiedniéj obszernéj izbie, czystemi i porządnemi zastawionéj sprzętami, pracowali nad książkami dwaj dorastający chłopcy w studenckich mundurach. Z boku dwie duże stancje, zastawione były warsztatami: przy nich kilkunastu zajętych czeladzi i chłopców; od ulicy znajdował się sklep duży i dobrze zaopatrzony.

— I cóż Kaziu! żadnéj wiadomości?—rzekła, przerywając długie milczenie Skórkowska.

— Nie, nic się dowiedzieć nie mogłem—odpowiedział starzec, ocierając ze świeżych łez oczy nabrzękłe, i zaczerwienione od ciągłego płaczu.—Wyjdźmy ztąd Zuziu, i trzeba zamknąć jéj pokoik, bo mi tylko żal powiększa. Bóg nas podrażnił tym aniołem, aby cięźéj jeszcze dać uczuć jego stratę.—I rzeczywiście wyszli oboje, przechodząc do sklepu w téj właśnie chwili, gdy bryftreger otworzył drzwi i podał zdziwionemu majstrowi gruby, opieczętowa-

ny pakiet. List w takich był napisany wyrazach:

P.........dnia 25 *Sierpnia* 1778 *r*.

„Tydzień już przeszło, jak zniknęłam z waszego domu, drodzy moi, i wyobrażam sobie, jak się tam niepokoicie o waszą Róziulkę, jak tęsknicie bez niéj; przychodzi mi na myśl porównać was do biednéj ptaszyny, która wychowawszy kukułkę, ze smutkiem widzi potem odfruwające niewdzięczne stworzenie. Ależ darujcie mi, nie moja tu wina, nie dobrowolnie was porzuciłam, i nigdybym tego nie uczyniła z własnéj chęci, bo choć wprawdzie odzyskałam dawców mego życia, nie wiem jednak, czy znajdę w nich *Ojca i Matkę*, których w was drodzy moi utracam.

Kiedy ostatni raz wyszłam z domu, wiecie, że miałam zamiar iść do kościoła, i rzeczywiście wstąpiwszy do Fary, modliłam się długo; jakieś szczególniejsze rozrzewnienie opanowało moję duszę; dziwnie tęskne przeczucia trapiły mnie, błagałam Boga o wasze zdrowie, życie, powodzenie, i o to, abym się nigdy z wami rozstawać nie potrzebowała. Uspokojona nieco, wychodzę, wtém dama jakaś bogato ubrana, rzekła do mnie: „Wszak, zdaje mi się, panna Rozalja?"—„Tak jest, pani"—odpowiedziałam zdziwiona.—„Zrobiłam obstalunek w sklepie twego opiekuna, kochane dziecię, i zdaje mi się, że musi już być gotowy, siądź ze mną do powozu, pojedziemy razem."—To mówiąc, wzięła mnie za rękę, i gwałtem prawie wciągnęła do pięknéj karety, w jakiéj dotąd nigdy jeszcze nie siedziałam. Powóz szybko się potoczył; jechałyśmy długo, bardzo długo, i z trwogą widziałam, że w inną zupełnie stronę Warszawy, nie do waszego mieszkania. Nareszcie konie stanęły, wysiadłyśmy przed pysznym pałacem, wprowadzono mnie do dużéj, wytwornie przybranéj sali, i pozostawiono tak przez kilka godzin samą. Płakałam okropnie, nie mogąc przeniknąć zamiarów tych ludzi, aż w końcu weszła taż sama dama, i znajwiększą dobrocią rzekła: „Uspokój się Róziećzku, pojedziemy teraz do sklepu Skórkowskiego; daruj, żem cię tak długo przetrzymała, ale musiałam wstąpić do domu, a zastawszy gości u siebie, dotąd odjechać nie mogłam."—Wsiadłyśmy więc powtórnie do powozu, i tak dniem i nocą jadąc, zatrzymałam się dopiero o 27 mil od Warszawy. W drodze dowiedziałam się od téj damy, że jest moją *Matką*, że od kilku już dni szukała sposobności spotkania mnie, i uwiezienia potajemnie, lękając się, jak powiadała, oporu z waszéj strony. Przybywszy na miejsce, pokazano mi mego ojca: człowiek poważny, surowy nawet; widok jego bardziéj mnie trwogą przejmuje, aniżeli uczuciem ku sobie pociąga. Zapytywali mnie o was. Oh! z jakąż rozkoszą opowiadałam wszystko, coście dla mnie uczynili; z zapałem przypominałam lata przy was spędzone, pensyę na którą chodziłam, pokoik dla mnie waszą ręką i troskliwością przystrojony, miłość i pieszczoty, jakiemi obdarzaliście waszą Róziulkę, braci moich przybranych, którym się zawsze sprzeciwiałam, gdy nad lekcyami pracowali, poczciwą mateczkę, zafrasowaną tém, coby dla Rózi na obiad ugotować; ojca kochanego, powtarzającego mi często ze łzą w oku: „przez ciebie, dziecię, Bóg nas uszczęśliwił, przez ciebie doznaliśmy cudu świętéj Jego Opatrzności; twemi pieniędzmi dorobiłem się majątku, alem ich sobie nie przywłaszczył, są u mnie i zdam z nich rachunek w każdéj chwili, gdy tego odemnie zażądają, lecz chętnie dałbym dwa razy tyle, byleby ciebie i serca twego nie utracić."

Rodzice moi z rozkoszą słuchali tego opowiadania, w końcu matka rzekła: „Bóg dozwolił, że dziecię nasze w poczciwe dostało się ręce; potrzeba mężu wynagrodzić cnotę tych zacnych ludzi."

Wczoraj odebrałam rozkaz pisania do was i przesłania wam załączonych tu papierów. Jest to urzędownie na wasze imię sporządzony akt kupna domu, w którym dotąd mieszkacie.—Przyjmijcie najdrożsi moi, ten mały dowód wdzięczności, zachowując w sercach waszych i pamięci tę, która nigdy o was nie zapomni. Wierzajcie, że dla was są wszystkie najlepsze moje chęci, a mam nadzieję, że niedługo może osobiście wam to powtórzę i serdecznie was uściskam.—Wasza *Rozalja*.

Rozmowa o śniegu.

—

— Zdaje się, że to już po zimie. Śnieg szybko topnieje, wprawdzie błota wiele—ale jakoś chętniéj człowiek go znosi, bo to prędko wróży wiosnę.

— Daleko jeszcze do wiosny—do zieloności; mówią, że wielkie massy śniegu leżą na polach

i po lasach, a te bez ciepłych dni, nie tak prędko ustąpią.

— Dlaczego to p. Józefie jedno słońce tak odmiennie działa, w miejscach niewiele od siebie oddalonych? W mieście lepiéj dogrzewa, a nawet dopieka, jak w polu.

— Wiele jest okoliczności, które zmieniają jednostajność działania słońca. Żebyś to zrozumiał, wiedziéć winieneś, że promienie słoneczne idące w prostym kierunku, jak natrafią na przeszkody, to się łamią, odbijają tak, jak piłka od muru, lub bila na bilardzie od bandy; poczuć to można, idąc w upał oświetloną stroną ulicy, wtedy i z góry grzeje, i od białego muru gorąco.—W mieście leży śnieg między murami: więc oprócz promieni wprost działających, ciepło odbite od domów, ciepło zresztą z samych domów wychodzące silnie się przyczynia do prędszego topienia—w polu zaś tylko promienie w prostym kierunku od słońca idące śnieg stopić mogą. I ażeby ci to jeszcze lepiéj wyjaśnić, dodać muszę, że ta rażąca białość śniegu, tak szkodliwa dla wzroku, ma w tém swe znaczenie. Robili ludzie uczeni doświadczenia, chcąc się przekonać, który też kolor najwięcéj sprzyja pochłanianiu ciepła; w tym celu, na śniegu kładli kawałki sukna różnego koloru, i po pewnym czasie przekonali się, że pod czarném suknem śnieg najprzód stopniał, późniéj pod niebieskiem i zielonem a najpóźniéj pod białem. A właśnie śnieg jak zaczyna topnieć w mieście, nie jest biały; na dachach ma na sobie wiele cząstek sadzy, a na ulicach i chodnikach prawie zupełnie ciemny od sadzy, błota i różnych nieczystości, które w czasie zimy nieporządne sługi na ulice wyrzucają. W polu i w lasach przeciwnie, śnieg długo zachowuje swą białość. Mówią, że mieszkańcy górzystego kraju włoskiego, co go Sabaudyą zowią, chcąc przyspieszyć zniknięcie śniegu z ich małych pól i ogrodów, posypują go dlatego ziemią.

— Według tego p. Józefie, kolor sukni i na ciepło człowieka wpływ wywierać winien.

— A rozumié się.

— Więc jakież suknie radzą nosić w lecie, a jakie w zimie?

— Oczywiście w lecie najwłaściwsze są białe lub szare ubrania, i dlatego to podczas lata tyle widzisz białych kapeluszy, czapek, sukienek, szarych paletotów. Co się tyczy w zimie, tu potrzeba zwrócić uwagę nie na ciepło, jakie dostajemy, ale na ciepło, które z nas wydzielamy przez suknie. Kolor wpływa także na prędsze, lub wolniejsze studzenie ciała ogrzanego; wiesz zapewne z doświadczenia, że lepiéj nie bielić rury odprowadzającéj przez izbę dym na dwór, czarny bowiem kolor pomaga do lepszego wychodzenia ciepła na pomieszkanie, z gorącego jeszcze dymu.

Pod czarną więc suknią ciało nasze prędzéj stygnie, ale i prędzéj się ogrzewa, a że zimą człowiek dobrze się okrywa grubém wełnianém, a nadto watowaném ubraniem, przeszkadzającém uchodzeniu z nas ciepła, przeto powszechnie doradzają na zimę ciemne ubranie.

Inną jest rzeczą dla zwierząt, na dalekiéj żyjących północy, które w czasie zimy, albo bardzo krótko, albo wcale słońca nie widzą; dla nich zapewne właściwszy jest kolor biały, skoro od Stwórcy dostały po większéj części białe futrzane odzieże, jak np. białe niedźwiedzie, białe lisy, białe zające, renifery, gronostaje. Pod takiém ubraniem musi im być i ciepléj, i bez wątpienia bezpieczniéj od nieprzyjaciół, którzy na polach i borach śniegiem okrytych, nie tak łatwo biały kolor rozróżnią.

— Oj! biedni to muszą być w lecie ci nieboracy murzyni, zupełnie prawie czarni, co to gdzieś w najgorętszych mieszkają krajach!

— Gorzéj im na słońcu, jak białym, to prawda, ale za to zdrowiéj. Jeżeli chcesz się o tém przekonać, to weź na ręce sukienne rękawiczki, jednę białą, a drugą czarną, i potrzymaj je na słońcu: przekonasz się wówczas, że pod czarną będzie w rękę gorręcéj, ale skóra pozostanie wilgotną; pod białą zaś rękawiczką będzie ci chłodniéj, ale po zdjęciu rękawiczki spostrzeżesz rękę opaloną; a gdybyś to uczynił na słońcu mocniéj palącém, aniżeli w czasie naszego lata, to na ręku powystępywałyby ci bąble. Tak więc murzynom ciepło, bo pochłaniają w siebie wiele promieni słonecznych, ale za to nie cierpią od palącego słońca.

— Mój Boże, jak to się wszystko jedno z drugiém cudownie wiąże!

— Nie darmo to mówimy: Bóg najlepszy rzemieślnik, wszystko przewidział, i cudownie mądrze na świecie urządził.

Koń i Osieł.

—

Ciężar wielki i wór duży,
Dźwigał osieł raz w podróży.
Obok niego lekką nogą,
Bez brzemienia, szedł koń drogą.
„Miły koniu! mnie tak gniecie
„Ciężar srogi, ty na grzbiecie
„Nic nie dźwigasz; pomóż bracie!"
Rzecze osieł. —„Oj! znam ja cię,
„Znam was wszystkie razem osły!
„Na lenistwieście urosły,
Koń samolub mu odpowie:
„I mnie także miłe zdrowie,
„Nieś sam sobie!"—„Koniu miły!
„Ach! iść daléj nie mam siły,
„Ja upadnę tu na drodze,
„Tak mnie ciężar gniecie srodze.
„Fraszka tobie, gdy pół z niego
„Weźmiesz na się!"—„Nie, nic z tego!"
Koń odpowie; i po chwili,
Gdy się osieł wciąż iść sili,
Padł nieżywy, a konika
Przykry teraz los spotyka:
Bo wziąć musiał z nieboszczyka
Cały ciężar, i w ostatku
Skórę z osła niósł w dodatku.
Ta samolub zwiesił głowę,
„O! gdybym był wziął połowę,
Myśli, idąc środkiem drogi,
„Nie gniótłby mnie ciężar srogi."
Święta prawda, chociaż stara:
Samolubów czeka kara.

Drzewo opałowe, węgiel kamienny i torf.

—

Drzewo z każdym rokiem droższe, zima długa i dokuczające mrozy, dały się wszystkim srodze we znaki: zamożniejszy wydał dużo pieniędzy na opał, a biedny nacierpiał się zimna, nie będąc w stanie kupić sobie drzewa dla ogrzania skromnego mieszkania. Z obawą spoglądamy w przyszłość, jeżeli z każdym rokiem drogość drzewa w tym stosunku postępować będzie. Nie zawadzi więc zastanowić się nad tém, zkąd ona powstała, a bardziéj jeszcze, jakiemi sposoby zaradzić można, coraz więcéj wzmagającemu się niedostatkowi drzewa?

Dawnemi czasy ziemia nasza w większéj części lasami odwiecznemi była okryta; z zwiększającą się ludnością lasy te, dla saméj już potrzeby gruntu pod rolę wycinano; ztąd też zmniejszyły się tak, że w krajach najbardziéj zaludnionych, brak drzewa od dawnego czasu doszedł do tego stopnia, iż w niektórych, jak we Francji, Włoszech, drzewo na wagę kupują. Do téj ostateczności w kraju naszym jeszcze nie przyszło, ale jesteśmy na téj drodze, i jeżeli nie obejrzymy się wcześnie, i nie postaramy się zaradzić niedostatkowi drzewa, tak przez szanowanie lasów i ich rozmnażanie, jak również przez zaprowadzenie oszczędności w wypotrzebowaniu tego materjału, ujrzymy się, i to wkrótce może, pozbawieni drzewa, którego brak dotkliwszy nam będzie, że ono z potrzebami naszemi tak ściśle jest zespolone.

Jak należy zaradzić niedostatkowi drzewa przez szanowanie i rozmnażanie lasów, wychodzi to poza obręb tego pisma; naszém żadaniem jest wskazać potrzebę zaprowadzenia oszczędności, i materjały drzewo zastąpić mogące.

Sama już drogość drzewa opałowego wywołuje potrzebę oszczędności w wypotrzebowaniu jego; kto za własne pieniądze drzewo kupuje, i sam go pali, pewno nie potrzebuje téj przestrogi, ale kucharze i kucharki, ludzie domowi, którym drzewo do codziennegó użycia jest powierzane, niech pomną, że w czasach, gdzie wszystkie potrzeby życia są w dwójnasób droższe, obowiązkiem każdego jest zwracać baczną uwagę na wszelkie możliwe oszczędności. Czy bowiem chleb, mięso, kartofle, sól i t. d. są droższe jak dawniéj, dlatego każdy pożywa tyle, ile mu do nasycenia się jest potrzebném; oszczędność zaprowadzona w téj mierze sprawiłaby to, że nie jeden wstałby głodnym od stołu, i nikt, jeżeli nie dla niedostatku lub innych ważnych pobudek, to dla saméj tylko oszczędności głodzić się nie będzie; ale każdy to pojmie, że na ugotowanie obiadu, kucharka nieoględna może spalić dwa lub trzy razy tyle drzewa, ileby go spaliła ta, która szanując dobro pańskie, potrafi urządzić się tak, że żadnéj drzazgi napróżno nie spali. Czyż nie wydarza się często, że służący, podpaliwszy w piecach, ani dojrzą zarzewia, a często nawet zapomniawszy zamknąć rurę u pieca, dozwolą mu wystygnąć? Czy kucharka, która do ugotowania obiadu za 2 lub

3 złote spali drzewa, do czegoby inna za 1 złp. spotrzebowała, przysporzy jedzenia lub zrobi go lepszém? Czy służący, paląc w piecach i nie zamknąwszy ich, dozwala wystygnienia, nie marnuje dobytku pańskiego? O! ciężkim to jest grzechem, marnowanie daru Boskiego, bez niczyjego użytku! Ileżby to rodzin uszczęśliwionych było, gdyby miały w ciężkie mrozy to tylko drzewo, co się przez niedozór i niedbalstwo bez korzyści zmarnuje!

Łaskawa Opatrzność w nieskończonéj swéj dobroci dla rodu ludzkiego przewidziała, że człek darem Jéj tak sowicie obdarzony, źle gospodarować będzie, i zachowała w łonie ziemi nieprzebrane zapasy materjałów do opału, w braku drzewa służyć mogących; temi są: węgiel kamienny i torf, o których tu mówić będziemy.

Węgiel kamienny znajduje się w głębi ziemi; powstał on z lasów, będących kiedyś na powierzchni téjże. Jakeśmy wyżéj rzekli, ziemia nasza w oddalonych bardzo wiekach (czas o którym tu mowa, nie da się oznaczyć, jestto czas przedpotopowy), była w znacznéj części okryta lasami; drzewa tych lasów z czasem, lub przez wichry upadały, tworząc ogromne stosy, i własnym ciężarem, lub przez wstrząśnienia, jakie w owych odległych czasach często miejsce mieć mogły, dostawały się zwolna w łono ziemi. Takie pokłady drzewa czas pokrywał piaskiem i ziemią, na téj rosły nowe lasy, które taż sama koléj spotykała; przemiany takie po kilka i kilkanaście razy się powtarzały, czego w kopalniach znajdowane warstwy węgla, przegradzane ziemią, oczywiście dowodzą. Lasy te pogrążone w ziemi, pozbawione przez tysiące lat wpływu powietrza, zamieniały się zwolna w węgiel.

Że węgle kamienne powstały z drzewa, nie ulega żadnéj wątpliwości. Sztuki całe, w których widocznie słój drzewa, gałęzie i sęki rozeznać się dadzą, a co więcéj skielety zwierząt, zapełniających w owych czasach lasy, i widoczne odciski roślin, przekonywają, że Opatrzność w swéj mądrości przechowała te lasy, jakkolwiek w innym kształcie, na użytek pokoleniom ludzkim.

W czasach naszych, w których ludność na ziemi wzrasta, a wynalazki przemysłu ludzkiego wymagają nad zwykłą potrzebę większéj ilości materjału palnego, dozwoliła Opatrzność odkrycia tych nieprzebranych zapasów węgla.

Wydoskonalenie maszyn, poruszanych siłą pary, zawdzięczamy węglowi kamiennemu.

W krótkości tu nadmienić wypada, że węgle kamienne dla przysposobienia ich do lepszego użytku, przepalają się poprzednio, i to zowie się *koksowaniem* węgla, a taki węgiel koksem. (Gaz, który się przytem ulatnia, a który w stosownych przyrządach jest czyszczony i przechowywany, służy do oświetlania).

Węgiel kamienny znajduje się w bardzo wielu krajach; najwięcéj upowszechniony jest w Anglii, gdzie zupełnie miejsce drzewa zastąpił.— U nas mamy go także podostatkiem, mianowicie w krakowskich stronach zaczyna już wchodzić w użytek domowy; przywóz jego do Warszawy kolej żelazna bardzo ułatwić może.

Słów kilka o torfie, objaśni czytelników o mniéj wprawdzie w kraju naszym dotychczas upowszechnionym materjale palnym, jak w innych krajach: bo Opatrzność w większéj go ilości dała krajom ogołoconym z lasów. Obfitość drzewa, z jakiéj się dotychczas cieszyliśmy, była powodem, że nie poszukiwano innych materjałów do palenia, mając go i dużo i niedrogie. I niezaprzeczenie drzewo jest i zostanie najlepszém do palenia, lecz i u nas z czasem drzewo tak będzie drogiem, co niestety! od kilku lat czuć się daje, że mimo nawyknienia do niego, zmuszeni będziemy wziąć się do mniéj kosztownego opału, a taki po węglu kamiennym znajdziemy w torfie.

Na bagnach i w ogóle nizkich i mokrych gruntach, które, jako pod uprawę niezdatne, nigdy poruszanemi nie były, tworzy się zczasem z małych roślin, mchów, traw i t. p. pokład roślinny korzonkami w jednę massę spojony, napozór martwy; ma on życie roślinne, i jakkolwiek od dołu korzonki i mchy gniją, powierzchnia jego zimą i latem okrywa się nową roślinnością, a pokłady takie dochodzą 20—30 stóp głębokości.

Jeżeli te bagna i grunta przez upust wody, lub w suchych latach, obeschną, kopią tę, że tak nazwiemy roślinną ziemię, wysuszają na słońcu, i ta jest torfem używanym do palenia. Tak jak węgiel kamienny z głębszych pokładów, tak i torf głębiéj kopany jest lepszym. Obadwa wydają przy paleniu wiele dymu i popiołu, dlatego należy w kominach lub piecach urządzić ruszty, i

być bardzo z zamykaniem pieców ostrożnym, gdyż wyziew ich jest zdrowiu bardzo szkodliwym.

Głos sumienia.

Niewłaściwie wielu tłumacząc się potrzebami, przywłaszcza cudze rzeczy, a znalezione uważa za nabyte prawnie. Szczególnie w dzień wielki w naszéj wierze, wigiliją Bożego Narodzenia, taki jest przesąd, że coś zyskać w tym dniu, jakimbądź sposobem, jestto niby zyskać szczęście na rok cały. Właśnie zdarzył się wypadek, godny wspomnenia. W wigiliją Bożego Narodzenia, zajętą byłam sprzedażą chleba dla ubogich mieszkańców Warszawy; w chwili największego gwaru, kiedy wiele głosów odzywało się, żądając chleba przyniesiono mi na rachunek pensyi pięcio-rublowy papierek. Zajętą będąc, by kto nie ściągnął darmo bochenka chleba, przytem pisząc pokwitowanie, upuściłam 5 rubli z ręki, i po chwili już nie znalazłam ich koło siebie. W tym właśnie momencie Karolina Z..., z Tamki, zniecierpliwiona oczekiwaniem za oknem na chleb, weszła do stancyi, i znalazła przy progu 5 rubli, przez wiatr uniesione. Podniosła je pospiesznie, w nadziei, że przez cały rok będzie szczęśliwą, i zaraz odeszła do domu. Zgromadzeni ludzie dla kupowania chleba, byli to wszystko ubodzy, którzy pojęli moję stratę i zmartwienie, a za powrotem do domu opowiedzieli w swoich stancjach sąsiadom, razem mieszkającym. I Karolina Z... dowiedziała się, jak wielkiego smutku jest przyczyną; i lubo nikt nie widział, jak podniosła, tylko Bóg jeden, i już całkowitéj summy nie miała, bo kupiła żywności dla dzieci; jednak uczuwszy zgryzotę sumienia, po dwóch dniach odesłała całe rubli 5. Przytem napisała bardzo niewyraźnie, to jest tak, jak umiała, przepraszając za swój postępek.— Wdzięczność za powróconą szkodę, zniewala mnie do ogłoszenia tego czynu w piśmie, poświęconém dla ludu, by posłużyło to zdarzenie za przykład i naukę innym. ***

Przykład uczciwości.

Pan Z..., kassyer przy żegludze parowéj, wziąwszy 600 rubli do wypłaty robotnikom, wsiadł do sanek i pojechał na Solec. Przybywszy do miejsca, opłacił dorożkarza i wszedł do fabryki. Po kilku minutach wchodzi dorożkarz, i z miną znaczącą odzywa się:

— Przyszedłem prosić pana na piwo.

— Czyż ja ci nie zapłaciłem?—odpowiedział pan Z...

— Ale ja jeszcze dostanę na piwo—powtórzył dorożkarz;—a gdzie pan ma pieniądze?

Obejrzał się pan Z... na wszystkie strony, i dopiero przypomniał sobie, że nie wziął pieniędzy z dorożki.

— A któż ty jesteś?—z uczuciem zawołał—czy właściciel téj dorożki?

— Nie panie, jestem stary żołnierz, i służę za furmana.

— Przyjm odemnie na piwo—rzekł pan Z..., dając mu trzy ruble—i proszę cię przyjacielu, byś przychodził do mnie co miesiąc na pierwszego, a ja zawsze dawać ci będę na piwo.

Otóż dowód uczciwości w człowieku ubogim, dający nam wyobrażenie o godności pojętéj w ubóstwie.

Przysłowia.

Człowiek się nie dla siebie tylko rodzi,
Żyć mu też tylko sobie się nie godzi.

Kto nie doje, nie dopije,
Ten mądrze i długo żyje.

„Żono! pójdźmy do kościoła!"—„Nie mam w czém, miły!"—„Pójdźmy do karczmy!"—„Dziéwko! daj stare buty, są tam gdzieś pod ławą."

W drukarni J. Unger. — Wolno drukować. — Warszawa dnia 8 (20) lutego 1856 r. — Starszy cenzor F. *Sobieszczański*.